ROK VI. CHICAGO, dnia 6go GRUDNIA 1888. **No. 49**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1.50. Przedpłata musi być naprzód opłacona. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: W. Smulski, 635 Noble st. Chicago.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

CHICAGO, dn. 3go Stycznie R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagoski.

Entered at the post office of Chicago, Ill. as second class matter.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 6 grudnia.	Mikołaja biskupa.	Jarogniew.
Piątek, 7 grudnia.	Ambrożego bisk.	Ludomysł.
Sobota, 8 grudnia.	Niepokalane Pocz. NMP.	Boguwola.
Niedziela, 9 grudnia.	**2 Adwent.** Leokadyi i Wal.	Wyszosława.
Poniedziałek, 10 grudnia.	NMP. Loretańskiej	Radzisława.
Wtorek, 11 grudnia.	Damazego pap.	Wojmir.
Sroda, 12 grudnia.	Aleksandra i Aleksego.	Wolidar.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ II ADWENTOWĄ.

Ewangielia ś. Mateusza w rozdz. XI. od w. 2. *do* 11.

W owym czasie, usłyszawszy Jan w więzieniu dzieła Chrystusowe, posłał dwóch z uczniów swoich, którzy mu rzekli: Tyś jest, który masz przyjść czyli inszego czekamy? A odpowiadając Jezus, rzekł im: Szedłszy, donieście Janowi, coście słyszeli i widzieli: Ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim Ewangielią opowiadają, a błogosławiony jest, który się ze mnie nie gorszy. A gdy oni odeszli, począł Jezus mówić do rzeszy o Janie: Coście wyszli na puszczę widzieć? Trzcinę chwiejącą się od wiatru? Coście wyszli widzieć? Człowieka w miękkie szaty obleczonego? Oto, którzy w miękkie szaty się obleczą, w domach królewskich są. Ale coście wyszli widzieć? Proroka? Zaiste powiadam wam, i więcej niż proroka; bo ten jest, o którym napisano: Oto Ja posyłam anioła Mojego przed obliczem Twojem, który zgotuje drogę Twą przed Tobą.

Historya o sławnym Gabryelu Hołubku.

Opowiadania z dziejów polskich
przez Jozefa Grajnerta.

Dokończenie.

BITWA POD BYCZYNĄ I ZAKOŃCZENIE POWIASTKI.

Były ciężkie mrozy. Arcyksiążę Maksymilian stał ciągle ze swem wojskiem w starostwie krzepickiem. Siedział w zamku, grzał się przy kominie, aż jednego razu straż zamkowa znać mu dała, że widzieli z wieży, jak zdala od Częstochowy ciągnie ogromne wojsko, co ma skrzydła u ramion.

Byli to polscy husarze, którzy siedząc na koniach ubrani byli w stalowe pancerze, ze stalowemi skrzydłami u ramion, taki strach wzbudzili w straży niemieckiej. Arcyksiążę nie spodziewał się tego napadu; kazał więc co tchu zatrąbić na swoich, i niezadługo puścił się traktem ku miastu Wieluniowi. Za nim szedł trop w trop hetman Zamojski z swojemi pułkami. Na drugi dzień arcyksiążę wjechał do Wielunia, nikt tam nie mógł mu się bronić, a że to miasto było opasane murem, kazał więc zamknąć bramy, i myślał, że tam jakiś czas przeczeka spokojnie. Ale i tu hetman Zamojski następował mu na pięty, i już się gotował do szturmu, tak się zawziął na nieprzyjaciela, co tyle krzywd Polsce sprawił. Książe nie miał czasu zapakować skarbów swoich, kazał więc ogromną skrzynię, jak mówią, zatopić w stawie, co był pod murami zamku, i zaledwo tylko zdążył napisać na szybie w oknie zamkowem, pierścieniem dyamentowym te słowa: „był tu arcyksiążę Maksymilian;“ a potem wziął nogi za pas i dalejże ku Szląskowi.

Część tego Szląska należała wtedy do cesarza austryackiego, przeto sądził książę, że tam w obcych granicach nie będą śmieli szkodzić mu polacy. Ale się gorzko omylił. Po drodze wojsko Hołubkowe urywało tylne jego oddziały i biło wciąż po trochu aż pod samą Byczynę. Kiedy już całe wojsko polskie stanęło mu prawie oko w oko na polach byczyńskich, więc kazał stanąć swoim, uszykować się, i przy-

jął bitwę. Miał on jeszcze i teraz dwa razy większe wojsko, niż były pułki polskie; w to też mocno dufał, i stanąwszy w dobrem miejscu, był pewny zwycięstwa.

Polacy przecież nigdy na liczbę nieprzyjaciół nie uważali; w bitwie znaczy odwaga i przezorność więcej niż liczba. Kazał tedy pan Zamojski uderzyć w kotły i zatrąbić w trąby, a potem z okrzykiem Jezus, Marya! wpadli nasi piorunem na nieprzyjaciela.

Prawe skrzydło austryaków zaraz pobite zostało, tylko lewe trzymało się dłużej, bo na niem stali panowie Zborowscy ze swemi rotami, co nie chcieli króla Zygmunta, i stanęli po stronie księcia niemieckiego, bo w tem swoją korzyść upatrywali. Ale i lewemu skrzydłu dostało się nakoniec; kilka godzin bitwa straszliwa trwała. Na placu padło do dwóch tysięcy austryaków; nasi bardzo mało stracili.

Hołubek dowodził wtedy chorągwią, to jest pułkiem, i swoją odwagą, dzielnością i przezornością niemało się do zwycięstwa przyczynił. — Książę z resztą wojska zamknął się w Byczynie, które to miasto było także murem obronnym opasane, i tam chciał się bronić. Zamojski wiedział, że miasto to nie było zbyt trudne do wzięcia, i żywności też niewiele w niem było. Żeby więc czasu napróżno nie tracić, kazał się wojsku swojemu szykować do szturmu. Już było niewiele do dokończenia zaczętej z nieprzyjaciołmi wojny. Hołubek rozważał w myśli o szczęściu, jakie go spotka, gdy niezadługo powróci znów do rodzinnego gniazda swojego, i połączy się na całe życie z tą swoją jedyną, którą tak ukochał. Ale człowiek tak, a Bóg siak, powiada przysłowie. Naraz przychodzi rozkaz od hetmana, żeby Hołubek wziął z sobą oddział jazdy i poszedł obejrzeć mury miasta, gdzie są najłatwiejsze do wzięcia. Wybrał się więc Hołubek, i kiedy podjeżdżał pod mury, pierwszy strzał, jaki z miasta wypadł, ugodził go kulą śmiertelnie w piersi. — Strzelano do niego z broni, co się nazywała półhakiem.

Na nic się przydał wszelki ratunek, skonał w kilka godzin.

Zapłakał nad nim hetman, bo go bardzo pokochał,

zapłakali i towarzysze Hołubka. Posmutniały hetman nie mógł się długo oddawać żalowi, bo oto ojczyzna i obowiązek święty nakazywał mu kończyć zaczęte dzieło, i nieprzyjaciela do reszty skruszyć.

Już tedy miano do szturmu uderzyć, kiedy książe usłuchawszy rad swoich jenerałów, aby krwi nadarmo nie przelewać, wyszedł z resztą swego wojska z miasta, i oddał się w niewolę hetmanowi.

Gdy się tak wojna szczęśliwie dla Polski skończyła, smutni przyjaciele Hołubka sprawili mu pogrzeb, na którym był i hetman i całe z nim wojsko; grały żałośnie trąby i liczne odezwały się strzały. Nad ciałem wysypali wysoką mogiłę i krzyż na niej ustawiono; ale powiadają ludzie z tych okolic, że później ciało wyjęto z mogiły i pochowano je pod kościołem we wsi Grębinie, co niecałe dwie mile od Byczyny leży.

Tak skończył prosty górnik olkuski, a później sławny jenerał polski. Bóg mu policzył jego zasługi, a ojczyzna dotąd mile go wspomina i pieśń wdzięczną o nim śpiewa.

Raz się rodzić i raz umierać każdemu przychodzi, a szczęśliwy ten, który piękną pamięć o sobie ziomkom zostawia, i do nieba toruje sobie drogę, przez wielką miłość braci i kraju swojego....

Posłuchajmyż urywków tej pieśni, napisanej jeszcze przed dwustu laty, przez niejakiego Grochowskiego. Tak się ona zaczyna:

Hołubku niewysławiony
Pod Byczyną postrzelony!
Miej ten dank między mężnymi,
Dla ojczyzny poległymi.

Zabityś, lecz nie zabita
Sława twoja się rozkwita,
Która, póki świata, nigdy
Od czasu nie uzna krzywdy.

Odleciałeś towarzystwa
I rycerskiego myśliwstwa,

Krew ojczyznie ofiarując,
Gardłem wolność zastępując.

. . . .

Twe półhaki, twe rusznice,
By ogromne łyskawice,
Strach przed sobą prowadziły,
A z niemców trupy czyniły.

Same u Rabsztyna skały
Zdumiawszy się, oglądały
Dzielnych kozaków twych rotę,
I krwawą rąk ich robotę.

. . . .

A potem w sławnej potrzebie
Na czoło stawił sam siebie,
Tamże pięknej sławy syty,
Upadł z półhaka zabity.

. . . .

Hołubku! sławny rycerzu,
Póki żywiołu w przymierzu,
I dokąd słońce na niebie
Nie przepomną w Polsce ciebie!

Tej dzielności w on wiek złoty
Zarzuciwszy swe pieszczoty
Pilnowali ludzie młodzi,
Za takiem dziełem cześć chodzi.

Taką pracowitą cnotą
Polska młódź kiedyś z ochotą,
Brzegi swe przez mężne boje
Wiodła pod morze oboje."

Zburzenie Jerozolimy.

Kiedy Chrystus Pan już dawno był wrócił do nieba, zkąd był zstąpił na ziemię, żydzi ciągle jeszcze wyczekiwali Mesyasza, ponieważ zmysłowo proroctwa rozumiejąc i o doczesnych tylko rzeczach myśląc, sądzili, że Mesyasz będzie

królem doczesnym, szafarzem dóbr doczesnych, że wojnami zrobi Izraela panem nad innymi narodami.

W tym roku, w którym Jerozolima zburzoną została, przybyło do świątyni więcej aniżeli zwykle żydów, właśnie w nadziei, że w tym czasie zjawi się Mesyasz taki, jakiego oni pragnęli. Wielu spędził do Jerozolimy także strach przed wojskiem rzymskiem nadciągającem. Na wielkanoc r. 70 po narodzeniu Chrystusa 250,000 baranków wielkanocnych zabito, a ponieważ 10 osób jadło jednego baranka, dla tego znajdowało się w Jerozolimie najmniej półtora miliona osób. Kiedy więc wojsko rzymskie nadciągło pod miasto, nie brakowało obrońców, a Rzymianie znaleźli silny opór. Lecz siła żydów została osłabioną wewnętrzną niezgodą. Dziejopisarze ówcześni, którzy własnemi oczami patrzeli na to, co się działo, tak opisują owe czasy.

Okropniej aniżeli nieprzyjaciel przed murami miasta szerzyła się wewnątrz niezgoda stronnictw i głód. Po części już spożyto żywność, po części musiano ją zachować na przyszłość. Zbrojni buntownicy wdzierali się do domów i zabierali mieszkańcom żywność, aby zaspokoić głód swój; gdzie nic nie znaleźli, grozili, dręczyli i zabijali, aby gwałtem uzyskać to, czego im dać nie można było, bo wszędzie był głód. Kto czerstwo wyglądał, o tym przypuszczano, że ma co jeść, że schował żywność i tego dręczono, aby wydał co ma, tylko biedna twarz i postać chroniła od gwałtu. Niejeden dał cały majątek za małą miarę zboża, jadł ziarnka kryjąc się przed ludźmi. Głód zmuszał do okrucieństw i przekraczał granice ludzkości. Mężowie porywali żonom, żony mężom, dzieci starcom, matki dzieciom lichą strawę od ust. Wielu, którzy nocą ukradkiem poszli za miasto, aby poszukać sobie korzonków i ziół, musieli wracając oddać pokarm, zebrany z niebezpieczeństwem życia, ponieważ przemocą im takowy wydzierano i jeszcze łaskę świadczono, że ich nie zabito.

Im większa była bieda, tem większą nadzieję mieli gorliwcy, że Mesyasz się ukaże wtenczas, kiedy bieda dojdzie do najwyższego stopnia. Dla tego nie chcieli słyszeć o

pokoju, jaki im ofiarowali wodzowie rzymscy z miłosierdzia nad oblężonymi. Kto ze żydów mówił o zgodzie ze Rzymianami, tego uważano jako zdrajcę i śmiercią karano. Wódz rzymski, Tytus, zaczął teraz ostrzej postępować. Kazał łapać tych, którzy nocą szukali korzonków i ziół, i kazał ich przed murami wobec oblężonych bić i krzyżować. Prawie codzień ginęło 500 takich nieszczęśliwych, aż nareszcie zabrakło drzewa na krzyże. Oblężeni nie wzruszyli się tym widokiem, a ludowi mówili, że to odstępcy, którzy do Rzymian przystali i których za odstępstwo spotkała zasłużona kara.

Jan z Giskali i Szymon, dowódzcy dwóch stronnictw, kierowali robotami obrony miasta, lecz każdy rabował dla siebie i przyjaciół swoich. Jan plądrował świątynię, a Szymon zabierał mienie i życie znaczniejszym obywatelom, pod pozorem, że trzymają z nieprzyjacielem. Pili ku sobie, pisze ówczesny dziejopisarz, krwią obywateli, i dzielili się trupami. Ich zbrodnie szczegółowo opisać jest niepodobieństwem, lecz nigdy żadne miasto tyle nie wycierpiało, lecz nigdy od początku świata też żaden naród tak nie grzeszył, jak żydowski.

Bieda w mieście oblężonem stawała się tymczasem z dnia na dzień większą. Całe domy i rodziny wymierały z głodu. Wszędzie widziałeś umierających i umarłych. A jeszcze i tych rozbójnicy nie szanowali, zdzierali szaty z trupów i próbowali na ich ciałach, ażali miecze ich są dość ostre. Ludzie tak umierali, że przez dwa i pół miesiąca tylko przez jednę bramę miasta wyniesiono 115,880 trupów. W końcu już nie grzebano umarłych, bo ich było za wiele, lecz przerzucano je za mur. Zbiegowie mówili, że takich było więcej aniżeli 600,000. Wyziewy z trupów przyniosły dla żyjących nowego wroga, zarazę. Kto uszedł głodowej śmierci albo zarazie, ten mógł swe nędzne życie tylko przez to utrzymać, że żuł skórę starych trzewików, rzemieni,pasów. Matka pewna upiekła własne dziecko, upiekła jednę połowę, a drugą schowała. Skuszeni zapachem przyśli rabusie żądając schowanego pokarmu. Matka przynosi połowę własne-

go dziecka. Zgroza przejmuje bezbożników. I rzekła niewiasta: to mój synek, a jam go zabiła; jedzcie, bo i ja jadłam, nie bądźcie delikatniejszymi aniżeli kobieta, nie bądźcie miłosierniejszymi aniżeli matka. Jeżeli sumienie wam przeszkadza i nie chcecie przyjąć mej ofiary, to wiedzcie, żem jadła, i że reszta też dla mnie pozostanie. — Wiadomość o tem przeraziła całe miasto, każdy brzydził się tak tym występkiem, jakoby go sam był popełnił.

Smierć ścigała i tych, którzy ze strachu przed nią uciekali do obozu Rzymian, bo albo umierali jedząc zbyt chciwie podane pokarmy, których osłabiony żołądek strawić nie mógł, albo nieprzyjaciel chciwy, mianowicie Syryjczykowie i Arabowie, na żołdzie rzymskim stojący, rozrzynali brzuchy śpiącym zbiegom, ponieważ wiedzieli, że takowi połykali klejnoty, aby takowe uchronić przed rabunkiem. Przez jednę noc 3000 zbiegów żydowskich zostało w ten sposób zabitych. Bieda w mieście była tak wielka, że nawet musiano zaprzestać codziennej ofiary z dwóch jagniąt, jakiego to przypadku nie było od 233 lat. Przerażenie i smutek pomiędzy żydami było wielkie. Szefel pszenicy kosztował tysiące. Ludzie szukali i wydobywali ziarnka z gnoju i z kloaków.

Tytus, wódz rzymski, wiedział dobrze o nędzy oblężonych. Z miłosierdzia samego chciał jak najprędzej zdobyć miasto, aby biedzie oblężonych koniec położyć. Dla tego kazał sypać nowe wały, z wielkiem wytężeniem żołnierzy. Wnet zdobyto zamek warowny, nazwany Antonia. Jeszcze były w ręku żydów świątynia, górne miasto i góra Sion. Dowódzcy rzymskiemu bardzo zależało na tem, aby zachować świątynię i miasto, o ileby się dało. Kazał dowódzcy żydowskiemu powiedzieć, aby, jeżeli chce wojnę dalej prowadzić, wyprowadził z miasta tyle wojska ile tylko chce, lecz aby nie narażał na zburzenie miasta i świątyni. Lecz wszystkie łaski Rzymian, jako i pokój odrzucili żydzi ze szyderstwem, zarzucając Rzymianom strach. Postanowił tedy Tytus przypuścić szturm do świątyni, która wyglądała jak forteca, lecz zarazem zachować ją od zburzenia. Naj-

pierw spalono krużganki prowadzące ze zamku do świątyni, część spalili żydzi, aby utrudnić przystęp nieprzyjacielowi, część zburzyli Rzymianie. Ponieważ maszyny oblężnicze nic nie mogły wskórać przeciw murom świątyni, dla tego kazał Tytus podłożyć ogień pod bramy wewnętrznego dziedzińca. Ponieważ jednak ogień szerzył się za daleko, dla tego Tytus kazał go żołnierzom gasić. Żydzi bronili się rozpaczliwie i narobili Rzymianom dosyć szkody wycieczkami i zwalaniem na nich kamieni. Potem cofnęli się do wnętrza świątyni i zrobili wycieczkę na Rzymian zatrudnionych gaszeniem ognia na zewnątrz, lecz musieli się znowu cofnąć do wnętrza świątyni.

Wybiła nareszcie sądna godzina (10 Sierpnia 70 r.), o której Chrystus Pan 37 lat przedtem prorokował: Zaprawdę powiadam wam, nie pozostanie kamień na kamieniu, któryby nie był złamany. Żołnierz rzymski kazał się podnieść przez innego w górę i rzucił przez okno głownią do świątyni. Zapaliło się. Z krzykiem i wielkim lamentem uciekali żydzi przez ogień i miecze nieprzyjacielskie.

Daremnie wołał wódz rzymski, aby zaniechano walki i gaszono ogień. Przez trupy żydów, ogień przed siebie i naokoło siebie ciskając, Rzymianie dostali się aż w pobliże najświętszego. Tytus wszedł do najświętszego, święta cześć go przejęła na widok majestatu miejsca, i znowu kazał gasić. Daremnie, — i najświętsze zgorzało. Rzymianom dostały się w skarbcu tak niezmierzone skarby, że w Syryi nagle spadła wartość złota o połowę. Wiele tysięcy żydów różnego wieku i płci straciło życie w płomieniach. Kapłani do niewoli wzięci zostali przez Tytusa skazani na śmierć. Z najświętszego wyratowano księgi święte, złoty siedmiorogowy lichtarz, stół pokładny, ołtarz kadzielny i niektóre inne kosztowności, i zdobiły potem wjazd tryumfalny do Rzymu wodzów rzymskich Wespazyana i Tytusa.

Na ruinach świątyni żołnierze złożyli ofiary pogańskie bożkom przed orłami swych pułków. Reszta żydów uciekła do górnego miasta, mordowali tam własny lud, i starali się bronić, mianowicie w pałacu królewskim, zbudowanym przez

Heroda, a warownym. Lecz i tu Rzymianie zostali zwycięzcami, a cała Jerozolima dostała się w ich ręce. Jak wściekli latali po ulicach miasta, zabijali kogokolwiek spotkali, wyłamywali drzwi mieszkań, szukając ludzi, a ponieważ znajdowali tylko z głodu umarłych, uciekali wypędzeni smrodem. Tytus podziwiał mocne mury miasta, i zawołał, okazując przez to dobre i religijne serce: za pomocą Boską prowadziliśmy wojnę. Bóg wypędził żydów z tych murów, bo cóżby poradziły ręce i machiny ludzkie przeciw takiej mocy.

Przez sześć miesięcy podczas oblężenia zginęło żydów 1,100,000, a przez czas całej wojny jakie półtora miliona. Ci, którzy w Jerozolimie zostali przy życiu, poszli w niewolę, z wyjątkiem starych i słabych, których Rzymianie pozabijali. Kto miał niżej lat 17 został sprzedany, starszych odprowadzono albo do Egiptu do robót, albo rozesłano w różne okolice, aby dla zabawy Rzymian walczyli pomiędzy sobą, albo z dzikiemi zwierzętami.

Tytus kazał w Cezarei na urodziny brata swego Domicyusza 2500, a w Berycie jeszcze większą liczbę uwięzionych żydów na urodziny swego ojca albo do walki ku zabawie wyprowadzić, albo żywcem spalić.

W podziemnych gankach miasta znaleziono jeszcze 2000 umarłych, którzy woleli się sami zabić, aniżeli wpaść w ręce Rzymian. Wodzowie żydowscy schronili się w jaskini, lecz kiedy ich głód przycisnął, sami wyszli, odprowadzono ich w kajdanach do Rzymu, jednego ścięto, drugiego na całe życie do więzienia wtrącono.

Tytus pozostał z wojskiem przez całą zimę w Syryi. Wiosną, idąc do Egiptu, jeszcze raz wstąpił do Jerozolimy. Patrząc na ruiny, wielkiego i kwitnącego miasta płakał i złorzeczył przywódzcom żydów, którzy go zmusili do tego, iżby tak ostro sobie postąpił.

W Rzymie, dokąd się udał z Egiptu, wystawiono Tytusowi bramę tryumfalną, która jeszcze stoi, na której w kamieniu wyryto, jak Rzymianie odnoszą siedmioramienny lichtarz ze świątyni.

Po zburzeniu Jerozolimy były jeszcze trzy warowne

zamki w ręku żydów. Dwa zdobyto wnet, trzeci później. Broniła się tam załoga rabusiów, którzy plądrowali kraj, nim Rzymianie przyszli. Kiedy twierdzę obstąpiono i kiedy już nie było ratuku, to oblężeni wykonali okropny plan. Ostatni losem wyznaczony, aby pozostał przy życiu, zapewnił się że już nikt oprócz niego nie żyje, potem podpalił twierdzę i sam się zabił. Kiedy Rzymianie weszli do twierdzy nic nie znaleźli, jak wielki grób. Dwa lata po zburzeniu Jerozolimy Rzymianie kazali sprzedać wszelkie grunta należące do żydów.

Spaliła się świątynia jerozolimska, a naród żydowski został rozproszony. Ośm miesięcy przed zburzeniem Jerozolimy zgorzała główna świątynia pogańska w Rzymie. Dał Bóg wyraźny znak, że na miejscu pogaństwa i żydowstwa stanął nowy zakon chrześciański!

Mniemany żebrak.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

Ciąg dalszy.

— Mam dowód, iż to jest prawdą. Pobiegłem drogą, jaką tu przybył wedle jego własnego opowiadania. Ziemia po ostatnich deszczach spulchniała, głębsze zachowuje ślady. Odnalazłem je tak na polach wiodących ku chacie, jak i w samym ogródku. Nawet odkryłem na jednej grządce świeżo wysypane tam resztki niedopalonego z fajki tytoniu. Proszę mi te drobiazgi wybaczyć.

— I owszem, dowodzą sumienności, z jaką badacie sprawę.

— Udałem się i do izdebki Wawrzyna przygotowanej. Łóżko świeżo posłane, nie pomięte, co jednym dowodem więcej, iż tak jak mówi, wcale do siebie nie wrócił, ani się położył.

— Szczegół to ważny, — rzekł sędzia śledczy.

— Tem bardziej, iż gdyby Wawrzyn był winnym, niezawodnie wygniecieniem łóżka i pościeli byłby sobie zgoto-

wał możliwe „alibi" czyli dowód nieobecności, dopóki krzyki: gore, go nie zbudziły wraz z innymi, — dodał drugi.

— Można wyobrazić, iż aby matkę oszczędzić, nawet brata nie przebudził, — ciągnął dalej żandarm. — Że zaś wzdłuż polnej drogi jaką przebiegał, żadnej nie ma chaty, nic dziwnego, iż nikogo nie powołał. W sadzie znów odnalazłem ślad jego kroków, przypuszczając zaś, iż wpadł do zagrody kilka minut po ocknięciu dziewki, która na wsi pierwszy alarm dała, wszystko jak najskładniej się wyjaśnia. Odtąd zresztą świadectwo Kasienki zgodnie dopełnia jego słowa. Nareszcie mam i dowody obecności owego niewidzialnego rozbójnika, o czem zrazu wątpiłem, skoro nikt go nie zoczył, choć pono tędy uciekał.

— Jakież są owe dowody? — spytał sędzia.

— Najprzód, gdyśmy wpadli na strych, aby ogień gasić, trąciłem nogą o kapelusz nie należący z pewnością do żadnego z mieszkańców tej wioski. Tu żandarm wziął z szafy kapelusz starannie przez niego tamże złożony.

— Niezawodnie, takich kapeluszów w okolicy nigdy nie widać, — rzekł starszy sędzia, który zdawał się dawne zbierać wspomnienia tym widokiem obudzone.

— Choć nowy i mało noszony, wyrób to nie dzisiejszy, bo już od lat trzydziestu zaniechali podobne kapelusze nosić.

— Jakiż drugi dacie mi dowód? — spytał ciekawie sędzia śledczy.

— Wydałem zakaz, aby nikt po sadzie nie chodził. I oto znalazłem ślady stóp całkiem różnych od Wawrzyńcowych, choć rabuś uciekał nieomal w tym samym kierunku i prawie w jednem miejscu płot okalający zagrodę przeszkoczył.

— Dokąd prowadziły owe ślady?

— Niestety! zginęły mi na łące, a raczej między gęstą trawą porosłą, którą zapewne napastnik umknął. Kilka osób spieszących na miejsce pożaru istotnie mi zaręczyły, iż im się tam mignął biegnący szybko człowiek w szarem ubraniu.

— Czemuż go nie pochwycili?

— Mniemali, że to jaki posłaniec spieszący po nowe środki ratunku.

— Udowodniłeś prawie niezbicie; iż ujęty młodzian i dziewczynka są niewinni, któż tedy zbrodnię popełnił? Żandarm milczał zadumany.

— Czyś dotąd żadnej nie znalazł poszlaki?

— Jeżeli milczę, — ozwał się żandarm, — to dla tego, iż nic jeszcze pewnego nie da się powiedzieć.

— Możesz i twe domysły w poufałej rozmowie nam wyłuszczyć.

— Jeden z panów dłużej w tej okolicy przebywa i mniej się zadziwi słowami mojemi. Wiadomo, iż każdy złoczyńca osobne miewa metody w dopełnieniu swych zbrodni. Otóż bodaj poznaję w całej sprawie dzisiejszej sposoby używane niegdyś przez bandę opryszków, która przed kilkudziesięcioma laty była plagą kraju. Tu żandarm wskazał na kapelusz.

— Myliłbym się mocno, gdyby ten kapelusz nie wznowił dawnych wspomnień, tak samo panu sędziemu, jak i mnie samemu.

Starszy sędzia zamyślił się przez chwilę, ale pod wpływem nowego, a gwałtownego wzruszenia nagle zawołał.

— Toć szeroki kapelusz niegdyś przez Płomyków noszony! dobrze czułem, iż nie był mi obcym, wiedziałem, żem takowy dawniej widywał.

— Wawrzyn i Kasienka twierdzą nadto, że ów rozbójnik miał twarz pomurzoną sadzami, co także stałą bywało praktyką opryszków, o których mówię.

— Rzeczywiście, — odparł starszy sędzia, który w pamięci snuł kłębek wspomnień nagle rozwity. — Płomyki, bo tak ich powszechnie zwano, trzymali się zawsze jednej metody w swych morderczych wycieczkach. Napadali najprzód na mieszkańców osady, torturą wyciskali im nieraz zeznanie, gdzie schowali pieniądze swoje i kosztowności, a zamordowawszy swe ofiary i porwawszy, co się zabrać dało, podpalali chatę, aby zatrzeć ślady popełnionej zbrodni.

— Dzisiejszy napastnik nie inaczej sobie postąpił, — — ciągnął dalej żandarm. — Wiedząc, gdzie Piotrowscy

trzymają pieniądze, tortury użyć nie potrzebował, więc ich odrazu zabił, aby potem wypróżnić szuflady. Rąz dokonawszy kradzieży, udał się przez poddasze domu na poddasze zabudowań, aby tam ogień podłożyć wśród mnóstwa słomy i nagromadzonego palnego materyału. Znalazłem pełno dowodów umyślnego podłożenia ognia, które nieomieszkam przedstawić. Raz ubezpieczywszy swą bezkarność wznieconym w kilku miejscach pożarem, łotr byłby się wyniósł niepostrzeżenie, gdyby nie nagłe pojawienie się zbudzonej Kasienki, co wywołało znane już panom następstwa i powikłania. Bezczelną śmiałością swoją, rabuś i tak potrafił zemknąć i dać sobie rady.

— Dodajmy jeszcze niezbite dowody, iż znał on dokładnie miejscowość i zwyczaje biednych staruszków, a i ta znajomość cechowała zawsze zbrodnie Płomyków, — rzekł starszy sędzia. Tymczasem sędzia śledczy słuchał wszystkiego uważnie, nie zdradzając wcale doznanych przez się wrażeń.

— Panie sędzio, — ozwał się do starszego towarzysza, — dawniej tu mieszkasz i prędzej wiedzieć możesz, o ile wywody żandarma są słuszne.

— W moich oczach na największą zasługują uwagę. Chodzi tylko o odkrycie zbrodniarza i wspólników, których mieć musiał. — Jaki na to sposób?

— Wypada policyjnie śledzić cechy podejrzanych o udział w zbrodni ludzi.

— Alboż znacie jakie wyraźne domysły?

— Co się tyczy jednego, nie przeczę.

— Pan sędzia myśli z pewnością o starym Niedoli?

— W istocie. Nadto sam on kaleką, aby spełnić zbrodnię na własną rękę, ale mógł zebrać i dostarczyć potrzebnych szczegółów i wiadomości.

— Któż to jest ów stary Niedola?

— Żebrak i pijak, oddawna podejrzany o wspólnictwo z Płomykami, do których prawdopodobnie należał.

— Trzebaby się przekonać, czy te domysły są ugruntowane?

— Umorzymy raporta i żądamy sprawdzenia podejrzeń za pomocą aktów policyjnych w stolicy, ale jak zwykłe, wszystko zalega.

— Gdzież mieszka ten dziad? — spytał sędzia śledczy.

— Wałęsa się on z miejsca na miejsce. Czasem znika na całe dni, tygodnie, sypia w lesie lub pierwszym rowie, najczęściej jednak chroni się w podziemiach starego zamczyska. Tam wiecznie jak do nory wraca.

— Możeby tam zrobić rewizyą?

— Daremny trud, zaręczam, — odrzekł żandarm. Już tam nieraz zaglądałem, a prócz słomy i kilku skorup nic zgoła nie odkryłem.

— Nie jest zresztą prawdopodobnem, aby złodzieje wynosili złoto zamordowynych Piotrowskich w miejsce tak widoczne i samo przez się podejrzane.

— Cóż tedy z niem zrobili?

— Zagrzebali w ziemi lub złożyli u przyjaciół, do strzeżenia podobnych depozytów ochotnych. Płomyków już w bandzie nie widać, odkąd policya rozbiła ich zbiorowe działanie i napaści. Myślę jednak, iż ich bardzo wielu pojedyńczo w kraju zostało, a umieją sobie wzajemnie pomagać.

— Cóż nam tedy radzisz? rzekł sędzia do starego żandarma.

— Przedewszystkiem trzebaby ścisłym dozorem otoczyć starego Niedolę, tak aby się jednak nie domyślił, że go śledzimy, a tymczasem z stolicy sprowadzić dowody wyjaśniające jego przeszłośc i tajemnicze obroty.

— Macie słuszność, — rzekł sędzia śledczy. — Wam tedy polecam straż nad dziadem. Teraz zaś, jak mniemam, upada sama z siebie potrzeba trzymania dłużej niewinnych w areszcie?

— Podzielam pańskie zdanie, odrzekł starszy sędzia.

— Pierwszym tedy obowiązkiem naszym jest zwrócenie im wolności, oczyszczając ich zarazem z wszelkiego niesłusznego podejrzenia. Niechże się wszyscy, którzy dotąd przy gaszeniu są zajęci, przyjdą do sieni, gdzie też zawołamy Wawrzyna i Kasienkę. Żandarm pospieszył zanieść rozkaz sę-

dziów, ci zaś wyszli z izby, raz jeszcze obejrzawszy się na krwawe posłanie, gdzie spoczywały martwe zwłoki obu ofiar tej strasznej nocy.

IX.

Nie trudno przyszło żandarmowi zgromadzić wcale pokaźne grono ludzi. Sień się wypełniła szczelnie, a u zebranych górowała ciekawość, co do dalszych losów Wawrzyna i Kasi. Popełniona zbrodnia strasznie wstrząsnęła wsią całą. Piotrowscy byli tak poczciwi, tak hojni dla ubogich, że choć ich ludzka zazdrość nie omijała, nie mieli nieprzyjaciół. Okrutnie morderstwo przejmowało też wszystkich grozą, a nawet pewną trwogą. Nikt się nie czuł bezpiecznym, każdy wołał pomsty i kary na winowajcę. To też w zebraniu panowało wielkie roznamiętnienie i niepokój. Ludzie wybrani do kościoła na niedzielne nabożeństwo, tędy zwracali swe kroki, aby się dowiedzieć o szczegółach i dalszym obrocie sprawy. Kobiety nacierały na żandarma, aby im powiedział, co w izbie uradzono, ale daremnie. Ograniczył się na rzuceniu słówka na sucho Maciejowi, który się rozjaśnił i szybko pobiegł w stronę własnej chaty, co niemało poruszyło obecne kumoszki. Gdy zaś po chwili żandarm wprowadził Wawrzyna i Kasienkę, zewsząd podniósł się szmer, a nawet okrzyki, wśród których i kilka pogróżek dało się słyszeć. Sędziowie nakazali surowo milczenie, i gdy to nastało, jeden z nich w te odezwał się słowa:

— Moi przyjaciele, zwołałem was tu, bo należy się wam pewne ważne wyjaśnienie. Straszna zbrodnia została tu popełnioną, a czuwająca sprawiedliwość nie zostawi ją bez kary. Mogę wam zaręczyć, iż morderca pochwyconym i ukaranym zostanie. Ale sumienność w poszukiwaniach prowadzić nas musi i do sprawiedliwego osłonienia osób niesłusznie podejrzanych lub oskarżonych. Cieszy mnie więc, jeśli obecnie upewnić was mogę, iż zbrodniarzem nie jest, jak zrazu sądzono, jeden z pośród was, nie jest dzieckiem tej wioski, co was niezawodnie uraduje. Tymczasem szmer zadziwienia, a bodaj nieukontentowania dał się usłyszeć. Zaczem sędzia z tym większym naciskiem mówił dalej: C.d.n.